

Władysław Terlecki

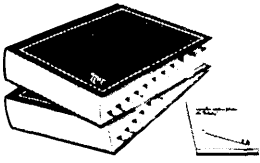
Brulion

Palestra 39/5-6(449-450), 80-82

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Władysława TERLECKIEGO BRULION

Szybkość, z jaką spisała nam elita polityczna, u niejednego zapewne obserwatora musi budzić zdziwienie.

Kiedy jakiś mędrzec stara się dziś zerkać w mroczną historię, gotów jest uwierzyć, że owo spsienie elit wiąże się zapewne z narodowym charakterem Polaków. Bo choć w dziejach pojawiają się tu i ówdzie wielce budujące zdarzenia oraz wielkie postaci narodowych wodzów, zawsze w końcu te same przywary decydują, że to, co zaczynało się w różnych epokach tak pięknie, kończyło się później polityczną mizérią. I oczywiście każdemu takiemu myślicielowi jako przestroga rysuje się najpierw koszmar epoki saskiej, w której wszystkie polityczne wady Polaków ukazały się w upiornym stężeniu. Mniejsza o to, ile jest prawdy w tych historycznych odniesieniach. Wszelkie ponure wizje przeszłości tworzy się przecież na użytek czasu bieżącego. Niuanse zaś i misterne komplikacje pozostawiamy historykom, którzy i tak nigdy w tym kraju nie zweryfikują legendy, z jakiej naród uczy się – jeśli to prawda, że w ogóle poddaje się podobnej edukacji – swej własnej historii. Swary polityczne – to jedna z tych przywar wagi pierwszorzędnej. Bo przecież sascy Polacy okazywali się nadzwyczaj swarliwi. Przywołajmy też słynną prywatę saską. Czyż trzeba przypominać przykłady magnackiej i szlacheckiej nieobliczalności i służalstwa wobec każdej władzy, stwarzającej iluzję obrony posiadanej własności. A ciągle małpowanie obcych? Nie tylko obyczajów politycznych, co zarówno na

Wschodzie jak i na Zachodzie Europy czyniło z polskiego szlachcica obraz osobliwego kretyna. Dalej – pijaństwo wraz z obżarstwem, które złotą szlacheczką wolność tak przyjemnie umilało, czyniąc coraz bardziej zastraszające spustoszenie wśród świeckich i duchownych elit umysłowych. Dodajmy ucisk słabych: chłopów, Żydów we własnych obejściach i innych obcych żyjących w granicach rozsypującego się państwa: Rusinów, Ukraińców, Tatarów. Skłonność do wywoływania awantur w obronie szlacheckiego honoru, który to honor sascy Polacy wyobrażali sobie zgoła inaczej niż cały ówczesny cywilizowany świat. Czy dalej trzeba się jeszcze dręczyć przywoływaniem tych upiornych przypomnień? Trochę to jest tak, jakbyśmy przystawiali sobie kryształowe lustro z epoki w starych złoczonych ramach. Czas zaciemnia nieco ostrość konturów, ale przecież przy odrobinie uwagi widzimy jednak w tym odbiciu własne rysy.

Patrząc tak myślimy, że nie sposób zapomnieć o innych lekcjach, których udzieliła nam historia. Byliśmy wszak również krajem pokoju w czasach, gdy pogrążona w religijnych wojnach Europa pławiła się we krwi i kiedy tu i ówdzie płonęły stosy. Jakże więc nie pamiętać, że u nas spalono tylko kilka czarownic, a i tak proceder ów nie spotkał się z powszechnym, jak gdzie indziej, uznaniem.

Może więc ta cała straszna historia czasów saskich jest tylko straszakiem, po który sięga się zwykle w chwilach niepokoju? Czy nie lepiej pamiętać, że

w momentach głębokiego zagrożenia byliśmy wiele razy gotowi do stanowczej obrony własnej godności? A może rzeczywiście wypada przyznać rację tym wszystkim, którzy twierdzą, że Polacy zdają egzamin z charakteru tylko w momentach, chciałoby się powiedzieć, ostatecznych? Jakże wiele takich prób można przywołać. I kto wie, czy rzeczywiście nie mają racji ci nasi krytycy, którzy dowodzą, że nie potrafimy ułożyć narodowego losu w chwilach, kiedy koniunktura wydaje się, jak dzisiaj, pomyślna. I czy rzeczywiście sami sobie byliśmy zawsze winni?

Ostatnie doświadczenia nie potwierdzają bynajmniej tak pesymistycznej refleksji. To właśnie wolny świat w czasie drugiej wojny światowej i w latach powojennych – o czym warto pamiętać – przesądził o naszych losach i to nie nasze wady narodowe skłoniły przywódców wolnego świata do zgody i poparcia ekspansyjnych planów Stalina. To przecież amerykańscy właśnie stratedzy, skupieni wokół jednej z bardziej odrażających postaci w galerii amerykańskich prezydentów, przesądziło o naszym losie, jako wasala wschodniego hegemonu.

Dość złowrogo na tle tamtego doświadczenia historycznego (historia oczywiście nie powtarza się, ale lekcje, jakich udziela, bywają niekiedy podobne) wyglądają umizgi niektórych naszych polityków, którym nie przychodzi do głowy, że tak naprawdę wolny świat może wcale nas nie chcieć w swoich strukturach obronnych i że stosując przy tym obłudne deklaracje solidarności oddała w gruncie rzeczy w jakąś nieokreśloną przyszłość realizację integracyjnych planów. Argumenty, niestety, bywają jak zwykle te same. Wszystko, co

czyni się w imię „powszechnego pokoju”, zyskać musi akceptację zwolenników imperialnej polityki na Wschodzie. Zachód ma bowiem własne polityczne interesy ważniejsze od interesu dawnych rosyjskich wasali. Głupota więc i kunktatorstwo takie samo. Kiedyś z pewnością przyjdzie i za nie płacić, ale w tym procesie oczywiście my będziemy płacić najpierw.

Skoro taka jest polityczna rzeczywistość, można chyba stawiać uprawnione pytanie: jaka więc rysuje się alternatywa? Co w ostatnich latach mogliśmy zrobić, aby podobną alternatywę zaprezentować wolnemu światu? Jeśli polityków stać dziś tylko na jedną odpowiedź, taką mianowicie, że żadnej alternatywy nie ma – przyszłość rysuje się w groźnych wymiarach.

To jeszcze jeden argument, że czas najwyższy na wymianę dotychczasowych elit i rychłe budowanie przyszłościowej wizji państwa.

Odwołując się natomiast do doświadczeń historii przypominamy ciągle jej czarny lub jasny wizerunek, zapominając przy tym, że podobna uproszczona wizja jest po prostu nieprawdziwa. Że niczego nie da się tak naprawdę wytłumaczyć cechami charakteru jedynie ani dzisiejszą klątwą nad nami zawisłą. Że prawda jest o wiele prostsza. Jesteśmy różni. Wady nasze – podobnie jak wady innych narodów – dają się wyjaśnić zupełnie racjonalnymi przyczynami.

A jeśli tak, to wraca znowu pytanie tak bardzo dręczące współczesnego Polaka: jak więc to się dzieje, że po okresie, w którym okazaliśmy nadzwyczajną dojrzałość i rozwagę podejmując w latach ostatnich bardzo trudne wyzwania, osiągnęliśmy w tak krótkim czasie dno

polityczne? Skąd ponad miarę zdumiewająca kompromitacja elit? I zarazem bezsilność tych, którzy mogą przecież elity owe odwoływać? Czy więc demokracji mają nas dziś uczyć w gazetach i na ekranach telewizyjnych ludzie coraz mniej do tego powołani?

Odstawiając w kącie lustra, w których tak bardzo lubimy się czasami przeglądać, powinniśmy raczej stwarzać szansę nowej elicie, bez której naprawdę polskie życie polityczne będzie próchnieć nadal w coraz bardziej chocholim tańcu.